ORKA

„PRAWDA ZWYCIEŻY".

Rok III. Listopad 1943. Nr. 11 (27)

O WŁAŚCIWYM CZŁOWIEKU.

Sztuka rządzenia zależy w dużej mierze od umiejętności operowania danym materiałem ludzkim. Wymaga ona głębokiej, praktycznej znajomości duszy ludzkiej z jej skomplikowaną aparaturą wzruszeniową, której mechanizm trzeba umieć poruszać, a ponadto wymaga umiejętności poznawania się na ludziach, na ich zaletach i wadach, aby móc ich należycie wykorzystać w pracy państwowej. Gdy się to wszystko posiada nie dość na tym: trzeba jeszcze posiadać głęboką znajomość rzeczy i mieć w sobie ten instynkt ekonomii, który wskazuje, jaką należy w danych warunkach i przy danym materiale ludzkim zastosować organizację, aby cel został możliwie najmniejszym nakładem sił osiągnięty, by stało się zadość maksymie: **„właściwy człowiek na właściwym miejscu"**. Mało jeszcze powiedzieliśmy, a już jasnym się staje, że sztuka rządzenia nowoczesnym państwem, lub kierowania polityką narodową jest **najtrudniejszą** sztuką, wymagającą od tych, których nazywamy czynnikami decydującymi, niebylejakich i wszechstronnych talentów. Podkreślamy szczególnie wyraz **talent,** aby przeciwstawić go wiedzy nabytej w drodze studiów teoretycznych. Wiedza nabyta w drodze nauki bardzo pomaga w zawodzie politycznym, ale nigdy nie zastąpi talentu politycznego. Gdy ster rządów obejmują w państwie ludzie pozbawieni talentów politycznych, naród przeżywa wielki dramat, który łatwo przemienić się może w tragedię. Wtedy bowiem następuje niejako automatycznie przekreślenie zasady „właściwy człowiek na właściwym miejscu" od szczytu drabiny hierarchii państwowej aż do samego dołu i to bez względu na to, czy na szczycie tym znajduje się jakiś uczony profesor, czy też półanalfabeta. Talentu wrodzonego nie zastąpi bowiem ani nauka, ani moralność, a talenty na kamieniu nie rodzą się: trzeba je skrzętnie wyławiać, zjednywać i wyrabiać w pożądanym kierunku.

Istota i racja bytu demokracji polega właśnie na tym, że ma ona otwierać i zapewniać **awans społeczny** ludziom najlepszym, najzdolniejszym bez względu na środowisko społeczne, z którego pochodzą. Demokracja, która tej zasadniczej funkcji selekcjonują-

cej nie wypełnia, przemienia się rychło w rządy pospolitych gęszefciarzy lub ulicznego motłochu, dopók nie pojawi się demagogiczny despota, który kraj szybko doprowadza do ruiny. Potęga Anglii na tym właśnie polega, że umie ona selekcjonować materiał ludzki . powierzać władzę ludziom prawdziwie utalentowanym. W demokratycznej Ameryce powszechnie stosowana jest zasada **„giv him a chance!“** — co znaczy: dajcie mu szansę, pozwólcie mu popisać się! Nigdzie ,ndziej ludzkie zdolności i talenty nie są bardziej wszechstronnie badane i wypróbowywane jak w Ameryce, dzięki czemu jest ona tem, czem jest. W zdrowych demokracjach państwo nie jest pojmowane jako rodzaj instytucji dobroczynnej, lub **przytułku dla safandułów** i mniej szkodliwych wariatów: przeciwnie, jest ono pojmowane jako wielki warsztat pracy, jako przedsębiorstwo, a więc angażuje się do niego tylko ludzi posiadających głowę na karku!

My Polacy nie cieszymy się pod tym względem dobrą opinią. Brak zdolności do rządzenia się sobą był często poczytywany za naszą wadę narodową, a co gorsza, ostatnie dwadzieśca lat życia niepodległego obfitowany w momenty, które dostarczyły nowych argumentów naszym wrogom, urabiającym nam w świecie opinię ujemne samego zaran a niepodległości szyli nam buty Żydzi, Ukraińcy i Niemcy, doprowadzając do tego, że musieliśmy podpisać hańbiący traktat o ochronie mniejszości, a potem złą opinię nam wyrabiała polityka reżimu sanacyjnego. Na szczęście dziś twierdzenia o organicznej niezdolności Polaków do rządzenia się we własnym państwie nigdzie już nie znajdują wiary, bośmy sami dowiedli, że posiadamy niezwykle silne poczucie narodowe i dobrze wyrobiony instunkt państwowo - twórczy. Ale nie mamy powodu ukrywać przed sobą **naszych braków**. Czego nam brak przede wszystkim, to objektywności w sądach i rzeczowości w traktowaniu spraw zahaczających o **personalia**. Nasz typ polityka w najlepszym wydaniu — to typ zacietrzewionego fanatyka, który przeważnie odznaczał się małodusznością w traktowaniu spraw personalnych. Rzadki przykład wielkoduszności dał ostatnio np. Prezydent Roosevelt, kiedy w 1941 swojego rywala z przeciwnej partii Willkiego powołał do współpracy i zamianował go nawet swoim nadzwyczajnym pełnomocnikiem do rokowań z Anglią. Przyznajmy sami, że u nas byłoby to niemożliwe, przynajmniej dotychczas.

Należy stwierdzić, że długoletnie rządy sanacji poczyniły u nas **ogromne spustoszenia** w dziedzinie racjonalnej gospodarki materiałem ludzkim. Rządy generałów i pułkowników były niestety równoznaczne z podeptaniem wszelkich zasad fachowości i rzeczowości. System protekcji i nepotyzmu wykoślawił morale młodszej generacji urzędniczej, która z rozpaczą stwierdzała, że zdolności i uczciwa praca nie są walściwą drogą do awansu. Prócz tego ani

do wojska na etat, ani do administracji nie przyjmowano ludzi o innych przekonaniach ideowych, niż sławna „ideologia". Młodzi ludzie szli do zawodów prywatnych, czasem zahaczali o sądownictwo lub samorząd, bo praca do której czuli powołanie, była dla nich niedostępna, lub uwarunkowana sprzeniewierzeniem się swoim przekonaniom. Wszędzie i zawsze wisiało na drzwiach owo sakramentalne **„wolnych posad niema"**, ale każdy wiedział, dla kogo niema, a dla kogo znajdują się.

Piszemy o tym nie dlatego, by przypominać grzechy dawnego reżimu, — byłoby to wyważaniem drzwi otwartych — lecz poto, by z wytworzonej sytuacji wyprowadzić należyte wnioski. Otóż nie jest tajemnicą, kto objął spadek po rządach poprzednich, kto dźwiga ciężar odpowiedzialności za obecną politykę Polski. Podpisane w dniu 15 sierpnia b. r. **porozumienie czterech głównych** stanowi dziś podstawę, około której krystalizować się ma nie tylko aparat państwowy, ale przede wszystkim **duch** tego aparatu, związanie moralne Narodu z państwem i myśl twórcza polityki narodowej. To porozumienie stanowi piękny przykład **kultury politycznej**, a w szczególności wielkoduszności przywódców stronnictw, których programy nieraz diametralnie się różnią, ale które potrafiły ambicje swoje podporządkować wyższej racji stanu. Jest szczytem zakłamania ze strony różnych odłamów sanacyjnych twierdzenie, iż porozumienie dąży do zaprowadzenia dyktatury czterech stronnictw. Wprost przeciwnie: tak szerokie porozumienie może mieć — na prosty rozum biorąc — tylko ten sens, że do współudziału w odbudowie państwa mają być dopuszczeni ludzie zdolni bez względu na ich przekonania partyjno - polityczne, że aparat państwowy ma przestać być podwórkiem jednej tylko partii. Jest zrozumiałe, że od czynnego współudziału muszą być wykluczeni ci ludzie, którzy są bezpośrednio winni metod i praktyk reżimu sanacyjnego. To nieprawda zresztą, że „partie" izolują ich od wpływu na politykę: ich izoluje cały naród, w którego oczach stracili oni cały autorytet.

Nas — ludowców nikt nie powinien zdystansować w dbałości o to, by się już nigdy nie powtórzyły praktyki i zwyczaje epoki sanacyjnej. Toteż byłoby błędem niewybaczalnym gdybyśmy nie poświęcili troskliwej uwagi polityce personelnej i metodom, przy pomocy których selekcjonuje się ludzi do odpowiedzialnych funkcyj. Sens czwórporozumienia nie polega na tym by ludzi dobierać według klucza partyjnego, metodą „sroczka kaszkę warzyła", pozostawiając na uboczu kwestię kwalifikacyj osobistych, lecz właśnie na tym, by stworzyć jak najszerszą bazę selekcyjną celem możliwie najlepszego zrealizowania zasady „właściwy człowiek na właściwym miejscu". Należy bowiem stale mieć na uwadze, że inaczej te sprawy wyglądają w normalnych, ustabilizowanych czasach, a inaczej w okresie wojny takiej jak obecna, która stawia

przed naszym narodem niebywale wielkie zadania przy wielkim ubytku inteligencji. Dziś, dobierając ludzi na stanowiska, musi się inne kryteria wysuwać na czoło, niż w czasach normalnych. Zilustrujmy to na przykładzie. Oto formuje się gdzieś kompania naszej armii krajowej: trzeba wyznaczyć dowódcę. Gdy dowódca, mający dokonać nominacji chciał stosować kryteria przedwojenne, musiałby mianować na ten posterunek człowieka posiadającego w danym miejscu, czy danym zespole najwyższy „cenzus". Otóż gdyby się tym wyłącznie krępował, popełniłby wielki błąd, bo ten człowiek z przedwojennym cenzusem może nie posiadać takich kwalifikacyj, jakich wymaga chwila obecna, a to: autorytetu osobistego, zdeterminowanej odwagi, daru improwizowania, szybkości samodzielności decyzji i t. d. Roztropny dowódca mus pominąć w tym przypadku szkopuł „cenzus" i rozejrzeć się za człowiekiem „z wiary", który dowiódł już że da sobie radę w każdej sytuacji i potrafi wykonać zadania dowódcy kompanii mimo braku matury. Otóż **ta sama zasada** odnosi się również do posterunków służby cywilnej. Okres przełomu będzie wymagać od ludzi na tych posterunkach żelaznych nerwów szybkości i samodzielności decyzji dużego autorytetu w szerokich kołach społeczeństwa, wielkiego talentu improwizacyjnego w organizowaniu i całego szeregu zalet, których tu wyliczyć nie sposób. Takich ludzi będzie jednak niesłychanie mało, o wiele za mało, jak na potrzeby które powstaną i dlatego trzeba będzie mobilizować ich z jaknajszerszego terenu. Tego tylko warunku przestrzegaś musimy, by ludzie ci lojalnie realizowali zadania okresu przejściowego, które zostały szczegółowo określone w deklaracji czwórporozumienia.

Co będzie później — po ustabilizowaniu się stosunków powojennych — oto nie potrzebujemy się w tej chwili martwić. Wtedy bowiem wejdzie w grę maszyneria ustroju demokratycznego, którego zaletą jest to, że ludzi niezdolnych i nieuczciwych usuwa bardzo szybko poza nawias pracy społecznej i państwowej przy pomocy **głosu opinii publicznej.** Najważniejszym problemem jest okres przełomu, który wymagać będzie od nas nadzwyczajnych kwalifikacyj. Jeżeli na ten okres będzie źle dobrany zespół ludzki, możemy kraj narazić na bardzo przykre — a być może — tragiczne nawet — wypadki. Pierwszy krok został zrobiony już w kierunku ułatwienia realizacji tych zadań, a jest nim deklaracja współpracy stronnictw. Teraz tylko chodzi o to, jakie będą jej wyniki w praktyce dnia codziennego, a w szczególności czy ta współpraca potrafi zapewnić społeczeństwu na każdym posterunku **godne zaufania, zdecydowane i sprężyste kierownictwo.** Nasz obóz zwraca się do swoich zwolenników z **apelem:** gdy przystępujemy do współpracy z ludźmi odmiennych przekonań, bo ta współpraca jest koniecznością państwową, nie myślmy teraz o tym, co nas od nich dzieli, lecz stale pamiętajmy o tym, co nas wszystkich łą-

czy: to mianowicie, że wszyscy znajdujemy się **na pokładzie jednego i tego samego statku,** który wciąż jeszcze znajduje się na pełnym morzu i podczas szalejącej burzy. Gdy statek zawinie do portu, każdy uda się w swoją drogę. Mamy prawo oczekiwać, że taką samą lojalną postawę zajmą wobec nas również inni towarzysze podróży.

(A).

JESZCZE O GRANICACH WSCHODNICH.

Dziś każdy Polak uświadomił sobie już jasno, że nasze granice wschodnie ustalone traktatem Ryskim są ofiarą i kompromisem, zrobionym można rzec na kolanie, bez dostatecznego zabezpieczenia się przed nielojalnością partnera. Mieliśmy już możność przypomnieć okoliczności, w jakich traktat dochodził do skutku. Nie wolno w żadnym wypadku o nich zapominać, gdy się do kwestji traktatu powraca czy to w rozmowach wewnętrznych czy w dyskusji międzynarodowej. Nie to w nich jest najważniejsze, że traktat ów kończy wojnę, którą myśmy militarnie wygrali a Rosja przegrała, ale to, że był on układem między dwoma krajami, z których jeden (Rosja) świadomie i dobrowolnie odrzucił swą legitymację, jaką przez wieki uzasadniał swe pretensje do naszych ziem wschodnich, a drugi (Polska) odzyskał właśnie wszelkie tytuły do tego, by wznowić swe prawo do granic przedrozbiorowych, jako że sama Rosja po rewolucji uznała rozbiory za zbrodnię, obciążającą carat. Państwo narodowościowe, jakim była niegdyś Rzeczypospolita, zachowujące wiernie tę tradycję w okresie niewoli przy wypisywaniu na sztandarach powstańczych hasła „za naszą i waszą wolność" było predestynowane wzrost do upomnienia się o linję **Smoleńska i Dniepru** jako swą historyczną granicę, nieprawnie naruszoną przez Rosję.

W ramach tej dawnej granicy Polska oczywiście mogłaby a nawet musiała obmyśleć nowe statuty zgodnego współżycia zamieszkujących jej ziemie narodów, czasem kłócących się z sobą, lecz zespolonych więzem wspólnej kultury, kultury zachodu, której piętna nie potrafiły zatrzeć półtorawieczne wysiłki Moskwy. Kulturę tę zaszczepił na tych ziemiach ongiś żywioł polski. ale z czasem stała się ona również własnością narodów ukraińskiego i białoruskiego, którym ona to właśnie **umożliwiła wyodrębnienie się etniczne naprzekór unifikacyjnym tendencjom wszechrosyjskim.** Wkład nietylko kulturalny ale i materialny, nie mówiąc już o daninie krwi samego narodu polskiego na tych ziemiach był olbrzymi, ponieważ zaś nigdy nie był on wynikiem planowej akcji ekspanzywnej tylko funkcję powolnego, pokojowego przenikania się wzajemnego żywiołów w ciągu kilkuset lat pozostających w ra-

mach wspólnej państwowości, więc rozmieszczenie kapitału polskości we wszelkich postaciach na tych ziemiach było nierównomierne, nawet chaotyczne, ale powszechne t. j. docierające do krańców dawnej Rzeczypospolitej. Dowodem tego, że proces ów był naturalny, że wywodził się z ducha oraz siły pługa polskiego nie zaś przemocy i gwałtu, jest niezaprzeczalny fakt, iż nie powstrzymały procesu tego same zabory i największe nasilenie polonizacji tak zwanych zachodnich ziem ruskich przypada na początek XIX wieku a więc na czas, gdy mowy być nie może o jakiejś akcji państwowej w tym kierunku, albowiem atrybuty władzy państwowej dzierży już wtedy w swym ręku Rosja. Ona to użyje po tem (po powstaniu listopadowym) wszelkich środków, by ów naturalny proces zahamować, by stan posiadania polskiego zmniejszyć do minimum.

W rezultacie też ów stan rzeczy, z jakim układające się strony mają do czynienia w roku 1921 jest wynikiem dziewięćdziesięcioletniego okresu systematycznego tępienia polskości przez rząd rosyjski, przez konfiskaty majątków, zamykanie uczelni, zwalczanie słowa polskiego i zsyłkę na Sybir najgorętszego materiału ludzkiego, nie jest zatem w żadnym wypadku wyrazem wolnej gry, tylko warunków przymusowych, dzięki którym szereg atutów bezpowrotnie zostało dla nas straconych.

A jednak mimo to zostało nam tyle, że Rosja nie waży się w swoim własnym imieniu podjąć z nami rozrachunku. Stwarza **fikcję niepodległej Ukrainy i Białorusi**, w których imieniu układa dopiero z Polską warunki pokoju. My tej fikcji mieliśmy prawo i obowiązek przeciwstawić uświęconą wiekami rzeczywistość i zaniedbaliśmy tego uczynić. Piłsudski miał wizję takiej Polski, **Polski jako wielkiej federacji**, jednak nie znalazł do niej właściwej drogi realizacyjnej i ostatecznie skapitulował. Na konferencji pokojowej w Rydze sprawa idzie już tylko o wyparcelowanie Polski jako **państwa narodowego** z masywu terytorialnego, do którego zgłasza swe pretensje świeżo poczęta federacja republik radzieckich. Następuje, jak widzimy, całkowita zmiana ról, wygodna dla partnera, niezwykle krępująca dla nas. Powstaje trudne zadanie rozdzielenia tego, co było dotąd niepodzielne, wspólne, organicznie z sobą zrośnięte, teraz zaś ma być sprawiedliwie przecięte kordonem granicznym przesądzającym przynależność do tego, czy innego narodowego państwa.

Wiele poszlak przemawia za tym, że rzecznicy nasi na konferencji nie bardzo zdawali sobie sprawę z tej niezwykłej osobliwości chwili i misji dziejowej, jaka im przypadła w udziale oraz z tej wyjątkowości następstw, jakie dla interesów narodowych Polski rozstrzygnięcia tego właśnie traktatu pokojowego przynieść mogą i przyniosą. Przewodniczący delegacji sowieckiej, **tow. Joffe**, okazał się świetnym dyplomatą. Jego starania bowiem, by przez

różne gierki zmienić niewygodną dla siebie płaszczyznę rokowań, wielokrotnie uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Wiadomą jest naprzykład rzeczą, że jego firmowy radykalizm społeczny ośmieszał niektórych członków polskiej delegacji, wyznających ideologię ludową, w dość kategorycznym stawianiu sprawy kresowej własności rolnej, bo p. Joffe mógł dać wtedy wyraz swemu zdziwieniu, że **ludowcy polscy** tak gorliwie kruszą kopje o interes **obszarników.** W ten sposób istotę sporu międzynarodowego zaciemniał mjraż zgoła nierealnej w tym wypadku solidarności stanowej. Tego rodzaju zasłony dymne, mające na celu zmylenie orientacji delegacji polskiej, stosowane były przez bolszewików z wielkim kunsztem i jeśli nie dały zbyt pozytywnego rezultatu, to dlatego, że tytuły żądań Polski były liczne. Moskwa zaś bardziej skłonna była w gruncie rzeczy iść na koncepsje terytorialne, nie odnoszące się przecież do obszaru rosyjskiego, jak oddać np. Polsce należną jej część swego zapasu złota. Tak więc niewyzyskany przez nas dostatecznie **argument zasięgu polskiej własności prywatnej** skompensowany został innymi tytułami, których słuszności bolszewicka Rosja przy całym radykaliźmie swych zasad kwestjonować nie śmiała, czy nie mogła. Na tej drodze osiągnięto wreszcie wytyczne granicy, która miała być odtąd wschodnią granicą Polski, tej nowej Polski, sprowadzonej do roli państwa narodowego. Jak ocenić trafność względnie sprawiedliwość owej linii granicznej z punktu widzenia tak wstydliwie potraktowanego prawa **polskej prywatnej własności ziemskiej?** Odpowiedź na to da nieco wnikliwsze zapoznanie się z tym zagadnieniem.

Prof. Eugeniusz Romer opracowując w r. 1916 swój wielki geograficzno statystyczny atlas Polski w objaśnieniach do tablicy XIII lustrującej stan polskiej własności ziemskiej na Litwie i Rusi, pisze dosłownie co następuje: „okrągło conajmniej 180.000 km^2 ziemi znajduje się na Litwie i Rusi w prywatnem polskim posiadaniu — więcej zapewne niż powierzchnia polskiej własności w Królestwie Polskim, w zaborze austryjackim i pruskim razem wzięto!“. Należy zaznaczyć, że obliczenia prof. Romera oparte są wyłącznie na danych zaczerpniętych ze źródeł oficjalnych (w dawnym wypadku głównie z materiałów statystycznych załączonych do projektu ziemskiego samorządu, który wniósł rząd Stołypinowski do Dumy dnia 20. 1. 1910 r.) a następnie, że odnoszą się tylko do ziem, które wchodziły wskład Rzeczypospolitej w momencie pierwszego jej rozbioru t. j. w r. 1772. Tymczasem faktyczny zasięg polskiej własności jest daleko większy. Rozciąga się na lewobrzeżną Ukrainę. Inflanty, Okrąg odeski, Bessarabję, wreszcie nawet rdzenną Rosję i to w tym stopniu, że podsumowując te rozsiane gniazda polskiej własności ziemskiej, należałoby wnieść do przytoczonego powyżej obliczenia prof. Romera poprawkę in plus conajmniej 30 — 40.000 km^2. Otrzymujemy w ten sposób sumę 210 —

220.000 km² jako wycenę obszaru ziemi, będącej ziemią polską z tytułu prywatnej własności.

Trzeba dobrze wbić sobie w głowę tę cyfrę! Nie wolno zapominać jej nigdy, ilekroć mowa jest o traktacie ryskim. Albowiem trzeba też wiedzieć, że traktat ten tylko niespełna połowę wymienionego obszaru włączył do terytorium państwa polskiego, natomiast drugą, większą jego część zostawił pod suwerennością państwową Sowietów. Z górą 100.000 km² ziemi będącej własnością polską, zostało poza obrębem Polski. Równocześnie weszło w jej granice kilkadziesiąt tysięcy km² ziemi będącej w posiadaniu białoruskim i ukraińskim. Innymi słowy, by sprawę postawić jasno: gdyby przy wytyczaniu granicy Polski przyjęto zasadę komulacji prywatnej własności ziemskiej według katastru narodowego, to granica ta w ogólnym zarysie przyjąćby musiała właśnie te linje (może jeszcze z pewnym odchyleniem na wschód) jaką jej wytyczono w traktacie ryskim. Tylko w myśl tej zasady, z którą logicznie rzecz biorąc łączyć się powinna inna jeszcze zasada: **wymiany ludności**, całe wydzielone w ten sposób terytorium przypaść by musiało nietylko państwu ale i narodowi polskiemu do wyłącznego władania i użytkowania. Jak wiadomo, traktat ryski nie rozstrzygnął sprawy w ten sposób. Polska zadowoliła się przyjęciem nad należnym jej obszarem suwerenności państwowej z pozostawieniem bez zmiany tytułów własności prywatnej. W rezultacie obciążona została **serwitutem kilkumilionowej ludności ukraińskiej i białoruskiej.** Co oznacza taki serwitut dla państwa narodowego, dla jego polityki wewnętrznej, mieliśmy się wkrótce przekonać.

Powie ktoś jednak może, że takie zestawienie własności polskiej, pozostającej za kordonem, z własnością mniejszości narodowych w Polsce nie wytrzymuje porównania i w ogóle nie mogło wchodzić w rachubę w kalkulacji politycznej, gdyż pierwsza była przeważnie wielką własnością obszarniczą, gdy druga stanowi drobną własność chłopską. Otóż takie podchodzenie do sprawy należy uznać za z gruntu fałszywe i polegające na zasadniczym nieporozumieniu. Tu wcale nie chodzi o obronę obszarników. Segregowanie własności i według jej typów i wyciąganie stąd różnych wniosków natury socjalnej jest rzeczą dopuszczalną a nawet konieczną w ramach planowania wewnętrznego życia zespołowego, a więc powiedzmy wtedy, gdy chodzi o to samo państwo lub naród, występujące jako jednostki zbiorowe w rozstrzyganiu swych wewnętrznych problemów. Niema natomiast usprawiedliwienia dla podobnego różnicowania własności w rozrachunkach międzynarodowych zwłaszcza takich, które likwidować mają spuściznę wielowiekowego zasiedzenia na ziemi. Wtedy naród, pojęty jako organiczna całość, ma prawo dopominać się całego swego udziału w masie spadkowej, bo ten jego udział zadecyduje o jego zespołowym bogactwie ziemi.

Przecież w danym wypadku **chłop polski** mógł być szczególnie zainteresowany w tym, by z obszarniczej wielkiej własności polskiej ani jeden haktar ziemi nie został poza nawiasem naszej suwerenności państwowej, albowiem tylko w ten sposób uzyskałby on gwarancję, że suma tych hektarów stworzy chłopski kapitał rezerwowy, z którego wcześniej czy później on t. j. chłop polski, a nie kto inny skorzysta. W płaszczyźnie międzynarodowych rozwikłań spraw majątkowych niema miejsca na uwzględnienie lokalnych różnic socjalnych, lecz conajwyżej na porównanie zbiorowego bogactwa wchodzących w grę partnerów zespołowych, nie trudno zaś chyba obliczyć, że w takim zestawieniu nie chłop republik radzieckich a chłop polski, cierpiący na chroniczne ubóstwo ziemi, nawet po uwzględnieniu rezerwy wielkiej własności, okazałby się **większym proletariuszem.**

Traktat ryski, jak już wiemy, nie poszedł po linii maksymalnego zabezpieczenia praw Polski do polskiej ziemi. Poprzestał na przyznaniu jej ekwiwalentu w postaci terytorialnej suwerenności, w ramach której zostały nietknięte enklawy prywatnej własności białoruskiej, ukraińskiej. Wzamian za to zostawił eklawę polską w granicach republik radzieckich, odnośnie których to enklawy nie zanotował żadnej polskiej rezygnacji z praw wynikających z tytułów prywatnej własności. Nie przewidział atoli sankcyj mających wykonalność tych tytułów zabezpieczyć.

Powojenna historja tych dwustronnych enklaw jest dostatecznie znana! Cokolwiek o niej możnaby powiedzieć, nie jest ona atoli wstanie nic zmienić w zasadach prawnych, które ugruntował traktat. Stanowią one ten **ostateczny limit**, z którego nie możemy absolutnie rezygnować. To nie hitoryzm, nie zmyślony imperializm, lecz najzwyklejszy **instynkt życia warstw chłopskich** każe nam bronić tego, co z prawa tym wastwom się należy.

Przedstawiliśmy jasno powody, dla których sąd nasz o traktacie ryskim nie może być przepojony entuzjazmem. W zakończeniu wypada podnieść jedną, tym razem niezaprzeczenie dodatnią cechę tego historycznego dokumentu: traktat ryski jest wprawdzie przede wszystkim układany między Polską i Rosją ale nietylko samą **Rosją**, lecz również **Ukrainą** i **Białorusią** uznającymi polityczny prymat Moskwy. W tej kombinacji czysto narodowy charakter tego układu dla Polski uwidocznił się w całej pełni i nie da się niczym obalić. Wnioski natury wewnętrzno - politycznej wypływają stąd same przez się.

(S)

PRZESĄDY A RZECZYWISTOŚĆ.

Rosnące zainteresowanie ruchu ludowego sprawami **miejskimi** a zwłaszcza sprawami społeczno - gospodarczymi miast nie przestaje budzić zdziwienia a nawet zgorszenia w wielu kołach

miejskich. Co mają ludowcy do powiedzenia w miastach? — słyszy się na każdym kroku pytania ludzi skądinąd inteligentnych. To zdziwienie jest dowodem, że u nas poglądy społeczne nie mogą jakoś ani rusz oderwać się od **osiemnastowiecznych nałogów myślowych** mimo całej postępowości w szermowaniu frazesami programowymi. Reakcyjność myślenia znajduje nawet odbicie w poglądach na rolę i „kompetencje" stronnictw politycznych. Nawet w enuncjacjach poniektórych działaczy chłopskich znajduje się często - gęsto taki uproszczony schemat podziału „kompetencyj": ludowcy — reprezentują interesy wsi, socjaliści — robotników miejskich, narodowcy — mieszczaństwa i wogóle „burżuazji". Ten sposób podchodzenia do spraw ideowo - politycznych jest z gruntu **fałszywy**, a przez to niebezpieczny. W założeniach bowiem swoich i w praktyce socjalizm i nacjonalizm są kierunkami światopoglądowymi, ogarniającymi całość życia społecznego i nigdy nie dadzą się zepchać do roli reprezentacji pewnej wąskiej sfery interesów: zwłaszcza nigdy nie zrezygnują z oddziaływania na ludność wiejską, stanowiącą u nas gros Narodu. Nie inaczej rzecz się przedstawia obecnie z naszym ruchem, który stanowiąc wyraz pewnego światopoglądu, musi ogarniać **całość** życia narodowego.

Osiemnastowieczny nałóg myślowy każe traktować miasto i wieś jako dwa zupełnie odmienne światy, związane wyłącznie prawem i stosunkami gospodarczymi. Ten nałóg miał dotąd faktyczne oparcie w zażydzeniu miast naszych, które ogromnie zwężało płaszczyznę stykania się ludności polskiej miast z ludnością wiejską. Na tym tle powstaje u mieszczan obawa, że zbytnia preponderancja polityczna ruchu chłopskiego może a nawet musi się odbić ujemnie na interesach ludności miejskiej, podobnie jak za dawnej Rzeczypospolitej wprost wpływów szlachty doprowadził do upadku miast. Przeprowadzanie tego rodzaju analogii jest zupełnie fałszywe. Pomijając bowiem ciemnotę ówczesnej warstwy rządzącej, szlachta nie była **biologicznie** związana z rozwojem miast, czemu dała wyraz, zabraniając ustawowo szlachcicom trudnienia się kupiectwem i rzemiosłem. Natomiast chłopi wprost przeciwnie — w mieście widzą **pożądane i konieczne ujście** dla nadmiaru rąk roboczych na wsi i doskonale rozumieją, że poprawa ekonomiczna wsi może iść tylko w parze z rozwojem miast. Chodzi o to, **pod jakim aspektem** ten rozwój miast ma się odbywać. Każdy mieszczuch np. uważa się za coś wyższego od chłopa i bez względu na to, jakiej partii mieni się być zwolennikiem, uważa wyższy poziom całej bez wyjątku ludności miejskiej za coś, co jest zrozumiałe samo przez się i zgodne z prawem natury. Dla nas jednak nic naturalnego w tym niema. Wieś istnieje dla miasta w równym stopniu, co miasto dla wsi: rozwój obu tych form współżycia musi się odbywać harmonijnie, a tę harmonię, a chociażby tylko uniknięcie jednostronności szkodliwej dla interesów całego Narodu, może zapew-

nić tylko **ścisła — na równorzędności oparta współpraca** przedstawicieli interesów wsi z przedstawicielami interesów ludności miejskiej we wszystkich dykasteriach samorządu. Dla ludności wiejskiej życie miasta nie może być obojętne, bo każdy szczegół tego życia zahacza o najżywotniejsze interesy warstwy chłopskiej, jeśli nie tej, która posiada własną zagrodę, to w każdym razie tej, którą bieda wypycha ze wsi do miasta. Stąd **nie może być chłopu obojętne,** jak jest np. traktowana służba domowa, czego uczą i jak wychowują w szkole, jaki numerus clausus obmyśliwują dla swej wygody wolne zawody, jakie ograniczenia zawiera ustawa przemysłowa i umowy taryfowe robotników z przedsiębiorcami, jak się do bezrobotnych odnoszą związki zawodowe i jakie warunki rozwojowe posiada najbliższa chłopu z pochodzenia i pozycji społecznej warstwa rzemieślnicza.

Dlatego rzuciliśmy hasło: **musimy być wszędzie!** W przyszłej Polsce żadna warstwa, żaden stan ani zawód nie może żyć na modłę średniowieczną: dla siebie i gwoli siebie. Chłopi, wysyłając rok rocznie setki tysięcy swojej młodzieży do pracy w mieście, nie będą już tracić jej moralnie dla siebie, jak to dotąd bywało, gdyż przepaść dzieląca oba światy zostanie zasypana, a idea ludowa będzie coraz silniej spajać pracującą ludność miast i wsi. Tu sprawę tę zagailiśmy tylko, a w przyszłych numerach będziemy ją szczegółowo omawiać.

(A)

NASI W KRAJU I ZAGRANICĄ.

Napisał ongiś Sienkiewicz, że dwie rzeczy są na tym świecie nieograniczone: miłosierdze Boskie i głupota ludzka. Przykładu tej nieograniczonej głupoty dostarczają nam obecnie nasi okupanci, którzy rozpoczęli w październiku krwawą pacyfikację w miastach Gubernii, a przede wszystkim w Warszawie przez **uliczne łapanki i rozstrzeliwania** publiczne zakładników. To, że Niemcy są zbrodniarzami nałogowymi wiedzieliśmy oddawna, nie mieliśmy jednak jeszcze pojęcia o potwornej głupocie ich, bo głupotą jest przekonanie, że tą drogą potrafi się spacyfikować nastroje Polaków. Szczytem zaś głupoty jest rozpoczynanie walki z nami w momencie, gdy front wschodni łamie się i przybliża ku nam. Nowe zbrodnie niemieckie, popełnione w większości na całkiem niewinnych ludziach, wzmagają tylko nienawiść i chęć wzięcia strasznego odwetu na Niemcach. Nasi ludzie nie dali się sterroryzować. Wiedzą dobrze, że Niemcy mordowali nas ciągle i bez przerwy, a różnica polega tylko na tym, że teraz robią to publicznie, a przed tym potajemnie.

Cała ta głupota Niemców wychodzi tylko jednemu czynnikowi na korzyść: **komunistom**. Jesteśmy świadkami wielu niewątpli-

wych prowokacyj, jak np. przygodne zabijanie żołnierzy niemieckich, rzucenie granatu do szpitala wojskowego w Warszawie i t. p. Polskie czynniki zamachów na żołnierzy niemieckich nie organizują i nie pochwalają, a więc rob je ktoś, komu zależy na tym, by prowokować Niemców do masakrowania ludności polskiej. Nie jest jednak wykluczone, że w szeregu wypadków sami Niemcy prowokują nas, by wywołać z naszej strony przedwczesny wybuch powstania, któreby potem z łatwością zdusili. W każdym razie nasze kierownictwo walki podziemnej słuszn-e postąpiło wzywając społeczeństwo do zachowania zimnej krwi a z drugiej strony przystępując do wzmocnienia odwetowej akcji dywersyjno - sabotażowej.

Na powyższym tle w całej pełni uwydatni się cynizm łajdackiej postaci gubernatora Franka, który kazał zainscenizować na Wawelu uroczystość **dożynek.** Kto tam brał udział ze strony ukraińskiej poza prof. Kujbijowiczem, tego bliżej nie wiemy, w każdym jednak razie roli polskich chłopów napewno nie odgrywali nas chłopi: byli to jacyś folksdojcze, których ubrano w polskie kostiumy, pochodzące z teatralnej garderoby. Prezes RGO P. Ronikier odmówił wz-ęcia udziału w tej uroczystości, za co został przez Franka usunięty.

Poza terorem niemieckim szaleje nadal na naszych ziemiach półd. wschodnich bandytyzm **szowinistów ukraińskich.** Mordy na Wołyniu nie ustały, przeciwnie w dalszym ciągu grożą rozszerzaniem się. W tych n-byto nacjonalistycznych bandach stwierdzono obecność oficerów sowieckich, co wskazuje na to że interes nacjonalistyczny ukraińskki i sowiecki okazały się zgodne na punkcie wyniszczenia żywiołu polskiego na wschodzie. W Małopolsce panuje niby to spokój, jednak niepokojąco mnożą się wypadki sporadycznego wymordowywania całych rodzin polskich zwłaszcza na Podkarpaciu. Widocznie bojowcy ukraińscy czynią nieśmiałe naraz e próby celem przekonania się, czy i jaką będzie reakcja ze strony polskiej!

Wyrażana w bestialskich mordach nienawiść Ukraińców do naszego narodu dała naszej prasie podziemnej asumpt do rewizji poglądów na sprawę współżycia polsko - ukraińsk-ego. Rewizja poglądów jest naogół zjawiskiem normalnym, o ile tylko nie wyskakuje zanadto poza dotychczasową postawę światopoglądową. Nie można tego powiedzieć o piśm-e „**Naród**" organie sympatycznej skądinąd Unii, które pod wpływem wypadków zmieniło swój pogląd o 180 stopni i obecnie prześcignęło chyba najbardziej szowinistyczne nasze koła w poglądzie na zagadnienie ukraińskie! Tak nie można, a zwłaszcza nie można popełniać takich gaff, jak zarzucanie metropolicie Szeptyckiemu, że jego list pasterski nie wywarł żadnego wpływu na wołyńskich ukraińców, skoro każdemu wiadomo jest, że metropolita reprezentuje obrządek grecko - katolicki, a wołyńscy ukraińcy są bez wyjątku prawosławnymi. Po-

dobne przeskoki w traktowaniu poważnych zagadnień świadczą o braku wyrobienia politycznego, a co gorsza, pogłębiają **dezorientację wśród społeczeństwa.** W rezultacie słyszy się coraz częściej głosy opinii publicznej, że skoro ci wszyscy ukraińcy, litwini i t. d. są takimi strasznymi bandytami, to lepiej niech ich sobie zabierają bolszewicy. Poważniej natomiast trzeba się liczyć z faktem, że nawet w umiarkowanych sferach naszego społeczeństwa coraz silniej przejawia się pogląd, że **zagadnienie ukraińskie należy rozwiązać radykalnie,** tak lub inaczej, w każdym razie bez stosowania półśrodków. Pesymizm co do możliwości współżycia z mniejszością ukraińską znajduje uzasadnienie w tym, że na Wołyniu rząd nasz prowadził długie lata konsekwentnie politykę liberalną, za co ci się odwdzięczają teraz w wiadomy sposób. Musimy jednak być bardzo ostrożni w uogólnianiu wniosków i faktów, a zwłaszcza pamiętać musimy, że nad zaognieniem stosunków na naszych wschodnich ziemiach pracuje równie gorliwie Moskwa co i Berlin.

Hiobowe wiadomości nadchodzą również z terenu **Wileńszczyzny,** gdzie Litwini wzmogli akcję tępienia polskości, posługując się w tym celu prowokacjami i denuncjowaniem naszych działaczy przed Niemcami. Ten głupi naród daje się bez skrupułów używać za narzędzie.

Jeśli chodzi o nasze wewnętrzne życie polityczne zwrócić musmy ponownie uwagę na **braki naszej propagandy antykomunistycznej.** Daje się wciąż odczuwać brak odpowiedniej literatury uświadamiającej co do taktyki obecnej agentur Kominternu, ale ważniejszym od literatury jest żywe słowo i działanie paraliżujące wpływ komunistycznej akcji kryjącej się za patriotycznymi napozór hasłami i społecznymi poczynaniami. Wprawdzie u nas sytuacja przedstawia się znacznie lepiej niż w krajach europejskich, gdzie sympatie prosowieckie stale rosną pod wpływem zwycięstw czerwonej armii i nieróbstwa aliantów, niemniej jednak musimy skończyć z krytyką i czysto negatywną propagandą a zabrać się do pracy głębszej i przy pomocy narzędzi bardziej udoskonalonych.

Rozległa prasa sanacyjna nie przestaje atakować **porozumienia czterech stronnictw,** posługując się często chwytami bardzo niewybrednymi. Niektóre z tych pism, jak np. Walka i Wolność (organ sanacyjnej grupy „Racławice") próbują wywołać zamęt również w naszym obozie: wykorzystując nasze krytyczne uwagi o redakcyjnej stronie deklaracji (w poprzednim numerze „Orki") usiłują wywołać wrażenie, że ruch ludowy nie zajmuje jednolitej postawy wobec porozumienia. Jest to oczywisty fałsz, gdyż my całkowicie pozytywnie odnieśliśmy się do treści porozumienia.

Na szczęście nasze społeczeństwo chłopskie jest już dostatecznie dojrzałe pod względem politycznym, by nie dać się zwieść próbom rozbijania jedności narodowej przez obóz, który będąc u władzy, nawet już po wybuchu wojny z Niemcami, nie tylko nie chciał

zrealizować jedności narodowej przez powołanie do współrządów i współodpowiedzialności przedstawicieli innych kierunków politycznych, ale jakby dla prowokacji społeczeństwa mianował Komisarzem Cywilnym Kostka Biernackiego! Dziś ci sami ludzie, rozbici i osamotnieni w społeczeństwie, mają czelność występować w obronie wolności i demokracji!

PRZEGŁĄD WOJENNO - POLITYCZNY

(15 październik — 15 listopad).

Konferencja moskiewska przesłoniła w okresie sprawozdawczym wszystkie n. b. bardzo ciekawe wydarzenia militarne i stała się przedmiotem najwyższego zainteresowania całego dosłownie świata. Nawet niemieckiej prasie nie udało się bagatelizowanie tego spotkania. Ogłoszone po zakończeniu tej dwunastodniowej debaty komunikaty i deklaracje świadczą wyraźnie o osiągnięciu porozumienia z Rosją w szeregu zasadniczych spraw. Nadzieje niemieckie na fiasco rokowań zawiodły. Wobec tego Niemcy nie mogą negować, że porozumienie zostało osiągnięte, tylko starają się przekonać świat, że polega ono na całkowitej kapitulacji anglosasów wobec żądań Stalina. My śladu tego nie możemy się dopatrzeć.

Konferencja była poświęcona przede wszystkim sprawom **wojskowym** i miała na celu uzgodnienie działań pod hasłem przyśpieszenia końca wojny. Ze zrozumiałych względów komunikaty nie ujawniają szczegółów na ten temat. Otóż to ograniczenie tematu obrad do spraw głównie militarnych Niemcy uważają za sukces Rosji, która jakoby tego żądała. JednJak prosty rozsądek każe mniemać, że gdyby w pełnym toku wojny — militarnie wcale jeszcze nie rozstrzygniętej — sprzymierzeńcy zebrali się i uchwalili nie dysktuować głównie spraw militarnych — byłoby to widowisko godne pożałowania.

Za dalszy sukces Rosji uważają Niemcy uchwalenie na konferencji zasady powojennej kolaboracji wszystkich narodów sprzymierzonych przez stworzenie **systemu zbiorowego bezpieczeństwa.** Oznacza to zrezygnowanie z projektów podziału świata, a zwłaszcza Europy na **strefy wpływów** poszczególnych mocarstw, które to projekty były rzekomo popierane przez anglosasów. Wiemy, że konserwatywne koła angielskie lansowały podobne projekty, ale wiemy również, że Stany Zj. i rządy wszystkich mniejszych państw europejskich były stanowczo temu przeciwne. Znając Rosję możemy twierdzić, że właśnie jej uśmiechałoby się uzyskanie jakiejś

strefy wpływów, np. Bałkany. Otóż z p. w. naszych interesów bardzo dobrze się stało, że idea „stref wpływów i interesów" została pogrzebana. Nasze czynniki rządowe podkreślają z tego powodu swe żywe zadowolenie.

Sukcesem Stalina ma być wreszcie fakt, że konferencja nie powzięła żadnych postanowień odnośnie zachodnich granic Rosji, że zwłaszcza nie załatwiła konfliktu polsko - sowieckiego. Jeżeli tak istotnie jest, trudno nazwać to sukcesem Rosji, bo sukcesem mogło być tylko uznanie jej roszczeń terytorialnych, co się jednak nie stało. Trzeba więc poczekać: dopiero przyszłość pokaże, czy sukces odniosła Polska czy Rosja.

Obok tych rzekomych „sukcesów" sowieckich powzięto szereg postanowień, które sama propaganda niemiecka nazywa ustępstwami Rosji, stara się tylko zbagatelizować je. Z naszego punktu widzenia ustępstwa te posiadają wielkie znaczenie, gdyż krępują pod każdym względem swobodę ruchów Rosji. Mianowicie: 1) uchwalono powołać na czas wojny **stały komitet doradczy** w Londynie dla spraw europejskich, bez którego konsultacji żadne mocarstwo nie będzie mogło niczego przedsięwziąć w stosunku do innych państw: 2) do czasu utworzenia po wojnie systemu zbiorowego bezpieczeństwa obowiązuje we wszelkich poczynaniach zewnętrzno - politycznych **konsultacja** czterech mocarstw, przyczem za czwarte zostały uznane Chiny: 3) wojska żadnego z kontrahentów nie mogą znajdować się na **obcym terytorium** po zakończeniu działań wojennych: 4) po wojnie mocarstwa zobowiązują się zawrzeć układ ustalający wzajemny **stosunek sił zbrojnych.**

Otóż w tych postanowieniach mamy wprawdzie dopuszczenie Rosji do „koncertu europejskiego", ale będzie ona tylko jednym z wielu partnerów. W jakim zaś stopniu Stalin potrafi wzgl. będzie mógł odegrać na przyszłej konferencji pokojowej podobną rolę, jaką na kongresie wiedeńskim odgrywał car Aleksander I — to będzie zależeć głównie od tego, w jakim stanie Rosja wyjdzie z tej wojny. Wyniki konferencji są niewątpliwym dowodem, że pod wpływem ciężkich obuchów wojny Rosja przestaje być samodzielnym czynnikiem w polityce, a batutę coraz mocniej trzymają w garści Anglosasi. Gdyby jeszcze na konferencji uznano niepodległość państw bałtyckich i granice Polski ustalone traktatem ryskim — akpitulacja Rosji byłaby zupełnie jaskrawo zaznaczona. Tym razem jednak zaoszczędzono jej jeszcze tego. Należy pozatym dodać, że nie uzyskał Stalin bardzo ważnej rzeczy, o której marzył i do której dążył: sojuszu ze Stanami Zj., które nadal nie potrzebują się niczym krępować wobec Rosji.

W takim stanie rzeczy zrozumiałem jest że nasze czynniki rządowe wyraziły umiarkowane zadowolenie z wyników konfe-

rencji. Wprawdzie sprawy naszych granic wschodnich nie załatwiono, mimo że niewątpliwie była ona na wokandzie, jednak fakt, że będzie ona załatwiana w drodze rokowań dyplomatycznych wzgl. na londyńskim komitecie powinien nas usposabiać raczej optymistycznie. Chodzi tylko o to, w międzyczasie Sowiety nie chciały stworzyć faktów dokonanych przez ponowne zajęcie naszych ziem wschodnich.

Ofenzywa jesienna sowiecka niewątpliwie to też miała na celu, aby pokazać na konferencji bardzo ważki zastaw. Jak widzimy nie udało się co jednak nie umniejsza naszego respektu dla znakomitej formy i dzielności sowieckiej armii.

Do sprawy konferencji jeszcze powrócimy, gdyż nie wszystko o niej jest jeszcze wiadome.

Wszystkich oczywiście interesuje pytanie, jak to jest z tym zakończeniem wojny. Odpowiedział na to stary marszałek Smuts w Londynie w przededniu konferencji: sprzymierzeni uderzą na Niemcy całą siłą w **przyszłym roku.** Nawet Niemcy w to uwierzyli, gdyż obecnie przewożą duże wojska z zachodu dla ratowania pogruchotanej południowej flanki wschodniego frontu.

Na fundusz prasowy i organizacyjny złożyli:

Andrzej — 100; Maślanka — 500; P. R. — 100; Grzęda — 2000; Wawrzyniec — 2000; Nałęcz przez Szpaka — 4000;